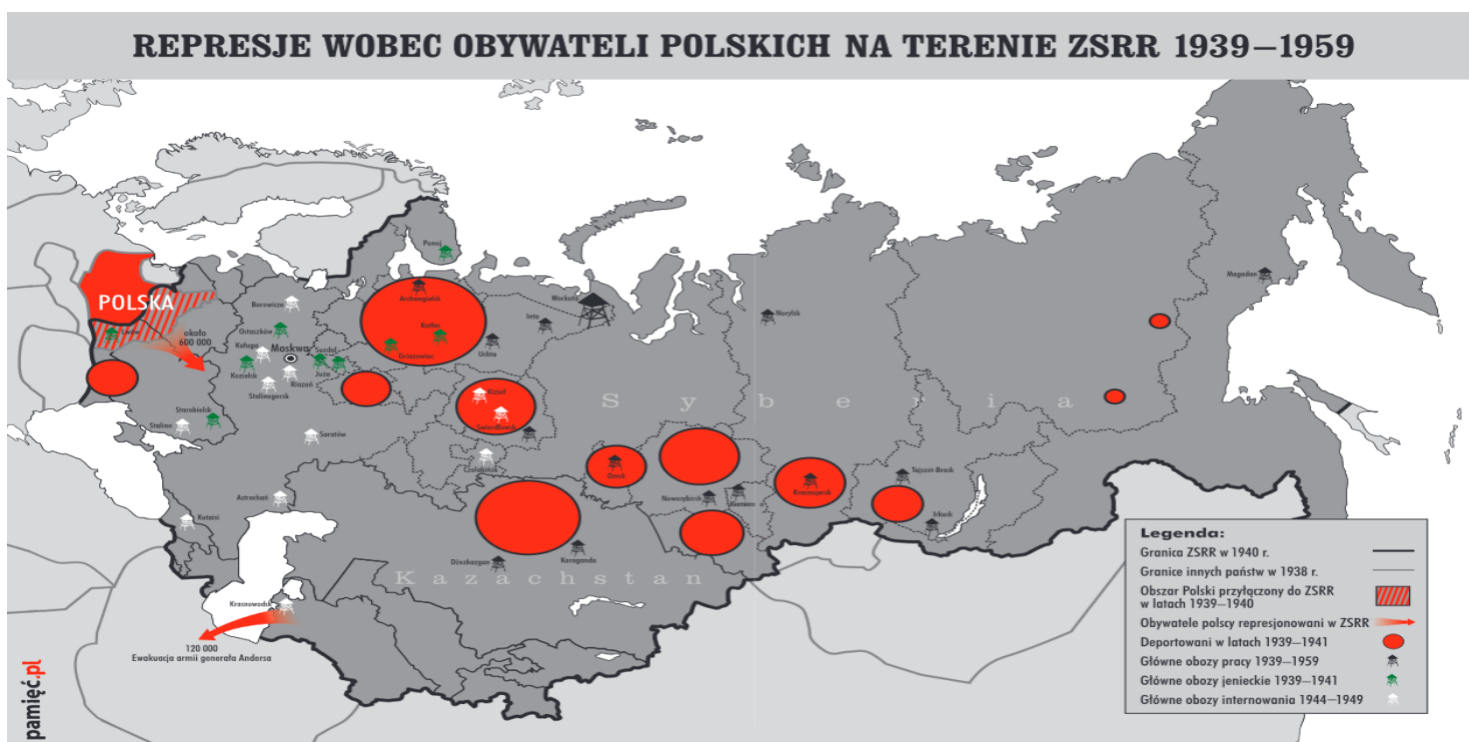


# Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/martyrologia/77456,Zsyłka-na-Syberie.html>



Mapa represji wobec obywateli polskich na terenie ZSRR w latach 1939-1959

## WSPOMNIENIE

## Zsyłka na Syberię

## OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: SABINA POTOCZAK 24.12.2021

„Jak się coś dzieje, ktoś kogoś bije, to mnie się dziecięce lata przypominają, jak mnie bił enkawudzista” – wspomina Sabina Potoczak, w 1940 r. z czwórką rodzeństwa i matką wywieziona do sowieckiego łagru.

Dzisiaj jest pięćdziesiąta rocznica naszej katorgi. Opiszę wywózkę. Najpierw Tatuś został zabrany. Nie zdążył dobrze wejść do domu, a tu już ubowcy [funkcjonariusze NKWD] go zabrali. Za godzinę drudzy przyszli.

Mówią: – Otwierać, bo drzwi wywalimy!

Otworzyliśmy. Było ich pięciu z bronią. Pytają, gdzie jest ojciec. Mamusia odpowiada, że go zabrali.

Oni do Mamusi: – Mów prawdę, bo was zabijemy!

My, dzieci, zaczęliśmy płakać. Bardzo się baliśmy. Widzieliśmy naszą nauczycielkę zabitą. Oczy jej wyłupili, palce poobcinali i tak zostawili koło drogi.

Na drugi dzień poszliśmy nocować do sąsiadów, do Wrutniaków, i u nich żeśmy byli.

A tu pierwsza w nocy, stukają i mówią: – Otwierać!

Pytają, gdzie są Paradowscy.

Oni odpowiadają: – Paradowscy są u nas.

Słyszemy: – Ubierać się!



---

**Ludzie, i zwierzęta, po około roku "życia" w sowieckiej Rosji... Stanisław Grabski (po lewej), polityk w II RP, zwolniony z łagru po przybyciu (?) do miejsca formowania jednostek Armii Polskiej gen. Władysława**

**Andersa w ZSRS. Obok siedzi inny  
mężczyzna o nieustalonym  
nazwisku. Fot. z zasobu IPN**

Myśmy myśleli, że nas będą zabijać, bo mieli broń. Podjechały dwa wozy. Nic nam nie pozwolili zabrać, tylko to, co na sobie i po jednej pierzynie, bo brat był mały.

Mróz był minus 35 stopni. Zawieźli nas do wagonów bydlęcych, napakowali pełen wagon, a ubole stali i poganiali. Jak cały transport załadowali, to nas wieźli. Głodne. Chłodne. Jak chcieli, to nam coś rzucili i wstawili wiadro zimnej wody.

Małe dzieci na wozy, wsiadać, a większe dzieci szły pieszo. Mróz był minus 35 stopni. Zawieźli nas do wagonów bydlęcych, napakowali pełen wagon, a ubole stali i poganiali. Jak cały transport załadowali, to nas wieźli. Głodne. Chłodne. Jak chcieli, to nam coś rzucili i wstawili wiadro zimnej wody. Wieźli nas sześć tygodni do wołogodzkiej obłasti. A potem Ruscy z kołchozu, jak nas werbowali, dali podwody. I wieźli nas dwa tygodnie tymi konikami. Na noc nas gdzieś wpychali do chlewni, a rano przyjeżdżały drugie podwody. Dzieci takie malutkie. Jak które zamarzło, to enkawudzista za nogi i do śniegu jak psa wyrzucał. I tak my dojechali do łagrow Krutaja Osyp.

Tam były straszne łagry. Bardzo długie. Z jednej strony żerdzie i mech pokładzony i z drugiej strony też. A przez środek korytarz. I takie małe piecyki. Zimno, głodno i płacz. Lepiej, żeby nas zabili, jak my to mamy przeżyć. Pokładli my się spać. A w tych pryczach pluskwy i wszy gryzły. Na drugi dzień nas zawołali na stołówkę. Dali po małej, glinianej krynke zupy, prawie sama woda. I rozkaz, co mamy robić. Mamy się podporządkować, bo inaczej nie dostaniemy jeść.

Dzieciom dali po 10 deka chleba, te, co pracowały, dostały dwadzieścia i trochę więcej tej zupy. I do roboty, do lasu. Moja najstarsza siostra miała 15 lat. Dostała siekierę i piłę. Ma robić. A my z drugą siostrą, która miała 12 lat, i ja, lat 9, a z nami starszy z braci, siedmioletni, mieliśmy palić gałęzie. Najmłodszy brat miał 5 lat. Moją Mamusię dali do kuchni, żeby myła kotły po zupie i paliła w piecu. Gliniane krynki na zupę też żeśmy myli, aby

były na rano. Wstawaliśmy o godzinie pierwszej w nocy. I szliśmy z Mamusią do kuchni. Ja musiałam jej świecić taką żarówką ze świerka, bo tam światła nie było. Nacięto się wcześniej patyczków świerkowych i podpaliło. Jak się wchodziło do tej stołówki, to szczury jak koty latały. Ciągłe płakałam, bo się tak ich bałam. Potem przychodziły ruskie kucharki i gotowały zupę, żeby ludzie coś zjedli i w las. Wracali na wieczór do tych łagrów strasznych i zimnych. Palili w piecykach, przez całą noc, a dziury były w ścianach na wylot. Ubrania dali nam z worków. Na nogi łapcie z brzozy. Jak się przyszło do baraku, nogi były białe. Myśmy je rozcierali do czerwoności, boby się odmroziły. Boże, jak myśmy tam przeżyli?!



**Stacja kolei wąskotorowej w osadzie Krutaja Osyp. Fot. Wikimedia Commons**

### **Nadjechał na koniu i mnie pobił**

Do najbliższej wioski mieliśmy 35 kilometrów. My, takie dzieci, chodzili na te wioski. Raz poszliśmy, a wtedy żyto skosili. Troszkę kłosek żeśmy sobie nazbierali. Nadjechał uboł na koniu. Dzieci większe ode mnie uciekły. A mnie on dopadł, żebra połamał, palec wybił, nogę pobił i zostawił. Tam niedaleko pracowali jeńcy niemieccy. Ja jęczałam, tak mnie bolało. Podeszli do mnie, wzięli i oderwali kawałek płótna ze swojej rubaszki i pookręcali moje rany. Brygadzysta do nich coś powiedział, oni zrobili ze świerka wiąznię, położyli mnie i zawieźli 35 kilometrów. Niemiec mi po drodze łzy wycierał, ale on mnie nie rozumiał, ani ja jego. Dowiózł mnie na pół żywą. Ten młody jeńcyk niemiecki podał mi rękę, chociaż mógł zginąć razem ze mną. Leżałam długo.

Jeszcze jedno opiszę. Jak my poszli może 40 kilometrów i konia zdechłego znaleźli. Już oblażł ze skóry, ale Polacy wszystko zjedli. Było z nami trzech chłopców starszych. Obłupili tego konia i dali nam co gorsze, bo lepsze to oni zabrali. I wzięli my w te torby brzożowe. Wracamy z powrotem 40 kilometrów. Już słońeczko zachodziło. Zaczął deszcz padać. Jeden chłopiec miał kurzą ślepotę i zaczął płakać; ja też płakałam, on miał 10 lat, ja 11. Już nie mogliśmy dojść. Tam płynęła rzeka. Pokładliśmy się spać, torbę przywalili my kamieniami. Rano 10 kilometrów doszliśmy do baraków. I cieszyliśmy się, że już troszkę mamy co jeść.

Teraz będzie mój wiersz z Syberii

I

Czego płaczesz polskie dziecię  
Czego lejesz gorzkie łzy  
Czy tak tęsknisz za Ojczyzną  
Czy ci żal rodzinnej wsi

II

Nie mamy Ojca ani Matki  
Dla nas pustką cały świat  
Chociaż jestem taka mała  
Jak wiosenny polny kwiat

III

Wśród zielonej dzikiej tajgi  
Gdzie przepływa wiele rzek  
Tu mogiła mojej Matki  
Tu skończyła młody wiek

IV

Ojciec zginął gdzieś w Katyniu  
Jego grób zasypał śnieg  
Oddał życie za Ojczyznę  
I tak zakończył młody wiek

### **Noc wigilijna**

W naszym obozie wybuchła epidemia tyfusu. Ludzie umierali nie tylko na tyfus, ale i z głodu, zimna i wyczerpania. W naszej rodzinie zachorowała na tyfus Mamusia. Miała wysoką gorączkę. Dla nas, dzieci, to

było straszne. Myśmy się modlili, żeby nie zmarła, bo co my bez niej zrobimy, a jesteście małe. A tu święta Bożego Narodzenia. A tu nie ma co jeść.

Dzieciom dali po 10 deka chleba, te, co pracowały, dostały dwadzieścia i trochę więcej tej zupy. I do roboty, do lasu. Moja najstarsza siostra miała 15 lat. Dostała siekierę i piłę. Ma robić. A my z drugą siostrą, która miała 12 lat, i ja, lat 9, a z nami starszy z braci, siedmioletni, mieliśmy palić gałęzie.

Latem my zarobiliśmy trochę kartofli. Jak Ruscy z wioski je wykopali, to myśmy jeszcze troszkę u nich użebrali, abyśmy mieli zimą co jeść. Razem było ich może 25 kilo. Ten dobytek przechowaliśmy u jednej Ruskiej, która była dla nas taka dobra, bo jej komuniści pomordowali rodzinę. To nas lubiła. Pracowała w kołchozie. W dzień przed Wigilią poszliśmy z siostrą Danusią po te ziemniaki. Siostra miała 16 lat, ja 10. Droga była daleka, 35 kilometrów.

Nasza Mamusia obudziła nas około godziny pierwszej po północy. Dała nam po parę deka chleba na drogę. Szliśmy noga za nogą, ciągnąc za sobą sanki zrobione z takich łupiek. Było bardzo zimno, mróz 35 stopni. Na dworze było jasno od księżycy i od śniegu. W połowie drogi zaczęły pojawiać się chmury i padał śnieg, który zamieniał się w zamieć. Wreszcie śnieżycy zaczęła się na dobre. Ogromne czapy śniegu z połamanymi konarami drzew z ogromnym hukiem spadały na ziemię. W lesie było trochę zaciszniej, choć w każdej chwili czyhało niebezpieczeństwo. Wreszcie skończył się las. Zaczęły łąki, pola, po prostu otwarta przestrzeń. Wicher wiał od lasu. Tumany ze śniegu przewiewały nas do kości, bo nie miałyśmy ubrania, tylko łapcie z brzozy, a na sobie z worka jakiś ciuch. Płakałyśmy, zdawało się nam, że lada chwila nas ten wicher porwie. Już byłyśmy bez sił. Ja byłam taka mała, chuda, same kości, to wiatr mną miotał.

Jeszcze zrobiłam jeden krok i mówię: – Już dalej nie pójdę. Nie chcę żyć.

Isć nie mogłam. I usnęłam. Ale siostra była starsza i czuwała.

Potem mnie budzi i mówi: – Chodź, bo zamarzniesz!

Ja na to mówię: – Wszystko mi jedno.



**Wigilia na Syberii - obraz olejny**  
**autorstwa Jacka Malczewskiego.**  
**Dzieło znajduje się w zbiorach**  
**Muzeum Narodowego w Krakowie**

Ale ona bardzo płakała i prosiła Boga. Klękała i modliła się, żebym się obudziła. I tak mną ruszała. A ja już nie miałam sił. Ale to Bóg dał, że się jakoś obudziłam. Siostra roztarła mi nogi i ręce, i twarz. Myślałyśmy, że nam ktoś pomoże, ale nikogo nie było, tylko pomoc Boża i Matki Boskiej. Siostra wzięła mnie, przytuliła, pocałowała, odśnieżyła i poszłyśmy dalej. Ona trochę mnie przytuliła do siebie, bo mnie było bardzo zimno. Mróz dalej ponad 30 stopni. Z oczu mnie płynęły łzy, które zamieniały się w kryształki lodu. Siostra prosiła mnie. Już niedaleko do Sondugi. Jeszcze tylko 5 kilometrów. Ale jej prośba mnie nie ratowała. Nie mogłam iść. To siostra znowu klęka na kolanach i prosi Boga, żeby Bóg pomógł i Matka Boska. I potem trochę dostałam siły i już szłam. Chyba Bóg wysłuchał płaczu mojej siostry i jej prośby. Szepnęłam do niej: – Jak dobrze, że jestem z tobą, trochę już mi lepiej.

I poszłyśmy dalej. Wreszcie z resztką sił dotarłyśmy do wsi.

Była godzina 9 rano. Nasze ubrania były obsypane śniegiem, wyglądałyśmy jak dwa bałwany. Dom tej kobiety był zamknięty. Poszła do kołchozu, bo tam pracowała. Obok jej domu stał maleńki domek, w którym mieszkali stare dziadki. On i ona. Zobaczyli nas, że stoimy jak bałwanki.

Wołają nas: – Ej, Chrystusowe dzieci, chodźcie do chaty, rozbierzcie się i ogrzejcie!

I rozplakali się nad nami. Babcia dała nam gorącej wody i po dwa kartofle, i troszkę chlebka. Myśmy się zagrzały. Pytają nas, ile mamy lat. Siostra mówi, że ma 16, a ja 10. I znowu się rozplakali nad nami. Chociaż wielką biedę mieli, bo co to, troszeczkę im dali z kołchozu, ale się z nami podzielili. A dla nas to był wielki przysmak, bo byłyśmy zmęczone i głodne.

Około 14.00 powróciła nasza kobieta, u której mieliśmy te ziemniaki. Wzięłyśmy je, a ona nam dała po dwa ziemniaki gotowane i znów wyruszamy. Do domu, w powrotną drogę. Znow wiatr. Wreszcie dotarłyśmy do lasu, gdzie było trochę ciszej i śnieżyca ustała. Szłyśmy noga za nogą po zasypanej drodze. Ogromne

czapy śniegu dalej z hukiem spadały na ziemię. Na drodze leżały połamane gałęzie, które utrudniały nam przejście. Byłyśmy tak zmęczone, że ja znowu zaczęłam płakać. Nie mam siły dalej iść! To siostra mnie prosi, mówi, dzisiaj jest Wigilia, chodź, może zdążymy na Wigilię. Nie wiadomo, co z naszą Mamusią. Jest taka chora. Ale mnie było wszystko jedno. Siadam i odpocznę. Jest tak cicho. Nad nami pojawił się księżyc. Siostra coś do mnie mówi, a do mnie to nie dociera. Ona z tego zmęczenia usnęła obok mnie.

Chociaż mróz większy, minus 35 stopni, Bóg czuwał nad nami, bo inaczej byśmy obie zamarzły. Ale tak się nie stało. Kiedy spałyśmy, doszły do nas trzy łosie i takiego huku narobiły, że siostra się obudziła i budzi mnie.

Złożyliśmy sobie życzenia, zamiast opłatka mieliśmy po kromce chleba i troszeczkę zupy. Pomodliliśmy się i poszliśmy spać na te prycze. Ale spać nie dawały wszy i pluskwy, i płacz. Ludzie płakali i prosili Boga. Dokąd będziemy tak cierpieć? Na drugi dzień, w Boże Narodzenie, trzeba było wstawać i do pracy, do lasu, a tam mróz jeszcze większy.

Ja z tego snu ją pytam: - Co to? W kościele dzwonią? Bo w uszach jeden dzwon słyszałam z tego mrozu.

Siostra mówi do mnie: - Wstawaj, bo zamrzniemy!

Te łosie chyba były przez Boga posłane, bo nas obudziły. Stanęły przy nas i tak zaczęły parskać. A jak my się poruszyłyśmy, one uciekły w las. A stały koło nas blisko, około czterech metrów, nie dalej. Siostra zaczęła płakać.

Mówi do mnie: - Chodź, idźmy pomału, już nie jest daleko.

Ale moje nogi były sztywne. Nie mogłam ich wyprostować z zimna. Siostra mnie porozcierała, przytuliła i pomału się jakoś rozeszłam. Było niedaleko. Już był cmentarz polski. Żarzyły się [na mogiłach] węgielki. Wreszcie dotarłyśmy do swoich baraków. Z wyczerpania tam upadłam.





**Wystawa IPN „Wygnańcy” („The Expelled” ) - prezentacja w Parlamencie Europejskim w Brukseli, 2008 r.**

Mamusia miała bardzo wysoką gorączkę.

Rozpłakała się i powiedziała: – Moje kochane dzieci, myślałam, że już nigdy was nie zobaczę. Ale tak się modliłam za was i Bóg prowadził, a Matka Boska dała wam siłę dojść.

Złożyliśmy sobie życzenia, zamiast opłatka mieliśmy po kromce chleba i troszeczkę zupy. Pomodliliśmy się i poszliśmy spać na te prycze. Ale spać nie dawały wszy i pluskwy, i płacz. Ludzie płakali i prosili Boga. Dokąd będziemy tak cierpieć? Na drugi dzień, w Boże Narodzenie, trzeba było wstawać i do pracy, do lasu, a tam mróz jeszcze większy. Rano weszli ruskie gestapowcy [enkawudziści] z nagajami i do roboty! Nie było, że nie możesz. Nasz obóz nazywał się Krutaja Osyp, totiemskij rajon, wołogodskaja obłast´.

## **Krew za Ojczyznę**

Moi bracia byli mali. Jak my wyjechali, jeden miał 7 lat, a drugi 5 lat. Ale bieda wszystkiego nauczy. Chodzili do lasu i z brzozy wycinali takie paski. Potem ten starszy nauczył się robić łapcie z brzozy, bo to było tylko jedno obuwie i plecaki, bo jak my szli na wioskę, to była jedyna torba do przyniesienia czegoś. Oni tych łapci narobili i nosili po tych wioskach za kilka ziemniaków albo za kawałek chleba. My, małe dzieci, szliśmy po tych tajgach i mrozach. Jak człowiek głodny, to jest wszystko jedno, czy zginie. Bóg prowadził i Matka Boska, bo

była wśród nas i dzieci kochała.

Idziemy raz z tej wioski, a szło nas sześcioro. Troszeczkę my uzbierali od ludzi. Gdzieś w połowie drogi słyszymy krzyk. A tam jakiś ubol zabija panią z naszego łagru. To my cichutko się ukryli i słuchamy. On ją zabił i przykrył gałęziami. Jak poszedł, to my ją zobaczyliśmy i poszliśmy. Potem przyszli ludzie z łagrów i ją zabrali. Ile my strachu przeżyli. Ona zostawiła troje dzieci małych. Jej mąż zginął w Katyniu, pani Majtykowa.

## **Powrót**

Jak się wojna skończyła, przywieźli nas do Polski, do Góry Śląskiej, i rozrzućli po domach. Ale żadnej pomocy nie było, trzeba było samemu się starać. Potem dowiedział się o nas Mamusi brat i przyjechał. I nas zabrał do Nysy, a stamtąd do wsi Przełęk. Był sam i nam ten domek zostawił. Nic w nim nie było, ale my się cieszyli, że mamy chlebek, była krowa i było mleko. Mój brat, co był [w dorosłym życiu] dziennikarzem, i drugi, [który był później] inżynierem, byli mali. Chodzili do szkoły. I orali, kosili kosą, że ich nie było widać na polu. Jak szli do szkoły, prosili na bułkę, ale my nie mieli. Nauczyciele wiedzieli, to zawsze im dali kromkę chleba.

Potem dowiedziałam się, że w Głuchołazach otworzyli zakład krawiecki. Poszłam tam 12 kilometrów. Zachodzę do samego dyrektora Jabłońskiego, był z Krakowa, i proszę go.

On mi mówi: – Nie mogę cię przyjąć do pracy, bo nie ma miejsca.

Ja klękam na kolana, całuję jego ręce i proszę, że przyjechaliśmy z Syberii, jesteście same dzieci, matka zmarła na Syberii, ojciec zamordowany.

On łzy w oczach i mówi: – Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie na zakład. Powiedział: – Macie tu taką młodą dziewczynkę, to ją nauczcie i nie krzyczcie na nią.

Oni myśleli, że jestem jego kuzynką. A to Bóg był ze mną i Matka Boska, że mnie pomogła. I już potem mogłam pomagać swoim braciom, żeby się wyuczyli. Ja musiałam pracować, chociaż byłam bardzo szczuplutka i chorowałam. Do tej pory moja nerwica została. Nigdy nie oglądam telewizora. Jak się coś dzieje, ktoś kogoś bije, to mnie się dziecięce lata przypominają, jak mnie bił enkawudzista.

oprac. Elżbieta Dziwisz

Tekst pochodzi z numeru 1-2/2020 „Biuletynu IPN”

---

Sabina Potoczak (z d. Paradowska) urodziła się 1 stycznia 1930 r. w Starej Wsi na Nowogródzczyźnie. Jej ojciec, Stefan Paradowski, rocznik 1901, trafił do Polskiej Organizacji Wojskowej jako ochotnik, mając zaledwie piętnaście lat. Służył w Legionach, walczył o Lwów w 1919 r. Tam został ranny i odznaczony Krzyżem Walecznych. Następnie brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Mundur podoficera Wojska Polskiego zdjął w 1921 r., a rok później jako osadnik znalazł się na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. W 1939 r., po wybuchu wojny z Niemcami, wstąpił do żandarmerii wojskowej i został skierowany na posterunek w Hołyncu. Wojna, niepewność dnia, a nawet godziny to było pierwsze uderzenie losu w niego i rodzinę: żonę Mariannę i pięcioro dzieci. Najstarsza była Danuta, po niej – Jadwiga, Sabina i dwaj chłopcy: Zygmunt i Ryszard.

Na następne uderzenie losu Paradowscy długo nie czekali. Na wschodnie tereny II RP 17 września 1939 r. wtargnęli Sowieci. Nóż w plecy to mało powiedziane. Enkawudziści rozpoczęli rozprawę z Polakami: aresztowania, mordowanie, osadzanie w więzieniach. Dobrali sobie sojuszników. Nakłaniali nacjonalistycznie nastawionych Ukraińców do bicia i zabijania polskich oficerów, inteligencji, leśników, osadników. Po Paradowskiego przyszli wieczorem, między 18.00 a 20.00. Rodzina daty dziennej nie zapamiętała, ale był to wrzesień. Pierwsi weszli funkcjonariusze NKWD z Hołynki. W godzinę po nich przyszli enkawudziści z Woronicz. Może o tej porze Paradowski już nie żył. Po aresztowaniu słuch po nim zaginął.

Trzeci, równie potężny cios, zadał los żonie Paradowskiego i jego dzieciom 10 lutego 1940 r. Funkcjonariusze NKWD przyszli po nich w środku nocy. Rodzina nie spała w swoim domu, w Starej Wsi, lecz u sąsiadów, ale to nie pomogło. – Ubierać się wszyscy! – rozkaz był krótki. Po powrocie do Polski pani Sabina wyszła za Władysława Potoczaka. Jej mąż był stolarzem, zmarł w 2005 r. Urodziła dwóch synów. Do końca życia mieszkała we wsi Przełęk w województwie opolskim.

Do utrwalenia wspomnień zabrała się w 1999 r. Miała wtedy prawie siedemdziesiąt lat. Wzięła szkolny zeszyt w kratkę i zaczęła pisać. Zastrzegła, że ukończyła tylko trzy klasy w szkole podstawowej w Dereczynie. Więcej nie zdążyła. Z czwórką rodzeństwa i matką została wywieziona – jak pisze – na Syberię. Ale to nie była Syberia, lecz łagry w osadzie Krutaja Osyp nad rzeką Suchoną w europejskiej części Rosji Sowieckiej. O swoich przeżyciach opowiada bardzo prostymi słowami. Wspomnieniom dała tytuł *Zsyłka na Syberię*. Nie pamiętnik, nie zapiski lub relacja, lecz los. Zmarła w lutym 2010 r.

COFNIJ SIĘ